Rocznik III. Kraków, 1 września 1900. Numer 1.

# SKARBNICA

miesięczne pismo ludowe
popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:
**Ks. Marceli Dziurzyński.**



**Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:**

**„Skarbnica“** kosztuje w **Austryi** na rok: **3** korony (**1** złr. **50** ct.). **półrocznie: 1** kor. **50** hal. (**75** ct.). **W Niemczech** na rok: **3** marki. — **W Ameryce** rocznie: **1** dolar.

**Adres:** Red. **„Skarbnicy“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**



NAKŁADEM WYDAWCY.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1900.

# Ważne dla wszystkich!

Rozpoczynając trzeci rocznik *Skarbnicy*, zniżamy przedpłatę na to pismo jeszcze o 1 koronę, czyli dajemy je już nie za 4 ale za **trzy** korony (do Niemiec za **trzy** marki) na rok, a nadto dodajemy całkiem za darmo, jako premię, **książkę do nabożeństwa** pod tytułem: „**Jezus, Marya, Józef**" każdemu, kto złoży z góry całoroczną prenumeratę.

Mieć za **3** korony przez cały rok co miesiąc pismo, a do tego **za darmo** książkę do nabożeństwa, to jest czemś dotąd jeszcze niesłychanem. Teraz już każdy wieśniak, który tylko umie czytać, powinien sobie *Skarbnicę* zaprenumerować, bo chyba bardzo się opłaci wydać zaledwie **trzy** korony, a za to otrzymać pismo i książkę do nabożeństwa.

Zaznaczamy, że tylko ci otrzymają za darmo książkę do nabożeństwa, którzy na *Skarbnicę* złożą **całoroczną** prenumeratę, to jest **3** korony (z Niemiec **3** marki); półrocznie płacący, nie mają prawa do tej premii.

Nadsyłający całoroczną przedpłatę, mają do niej dołączyć **50** halerzy, czyli **25** ct. (z Niemiec **50** fenigów) na opłatę przesyłki pocztowej wspomnianej książki do nabożeństwa.

Życzliwych Czytelników prosimy, by o tem zawiadamiali swych znajomych i zachęcali ich do zapisania sobie *Skarbnicy*, wyraźnie im mówiąc, że każdy, kto to pismo prenumeruje, otrzymuje całkiem za darmo **książkę do nabożeństwa.**

Rok III. Kraków, 1 września 1900. Numer 1.

# SKARBNICA

PISMO LUDOWE

wychodzi **raz** w miesiącu — dnia 1.

Wydawca i redaktor: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

**Przedpłata wynosi:**

**w Austryi:** na rok **3** korony (**1** złr. **50** ct.) na pół roku **1** korona **50** halerzy (**75** ct.). — Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się. **W Niemczech:** na rok **3** marki. — **W Ameryce:** rocznie **1** dolar. **Adres** do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

## Kilka słów o czarownicach w Polsce.

Wielką plagą rodzaju ludzkiego jest ciemnota. Ona człowieka najłagodniejszego nawet charakteru, zamienia w zagorzałca, który z zimną krwią, suchem okiem, zapala stosy i pastwi się jak tygrys wściekły nad swoimi bliźnimi. Dowodem tego są: sądy na czarownice i czarowników, które w 16-tym, 17-tym, a nawet w 18-tym jeszcze wieku w całej niemal Europie, a zwłaszcza w Niemczech i u nas, miasta i wsie bardziej wyludniały niż powietrze morowe. To bowiem ukazywało się ledwie co lat kilkanaście i nie na wszystkich miejscach, gdy tymczasem nie było miasteczka, w któremby co rok kilka lub kilkanaście przynajmniej czarownic nie spalono.

Obrzydła wiara w czary i w czarownice przeszła do nas (podobnie jak wiele innych złych i dobrych rzeczy) z Niemiec, gdzie byli ustanowieni osobni sędziowie na czarownice *(Hexenmeister)* i osobne prawa.

U nas w Polsce osobnego sądu na czarownice nie było; właściwy sąd ich po miasteczkach, prawem magdeburskiem nadanych, stanowił wójt z przesławną ławicą, po wsiach wypełniał obowiązki sędziego dziedzic, a w zastępstwie jego komisarz lub ekonom.

Wszakże po wsiach nie tak częste były przykłady pastwienia się nad nieszczęśliwemi ofiarami ciemnoty; tu najwięcej — gdy susza niszczyła zasiewy — kazano im nosić

rzeszotami wodę, smagano je, lub wypędzano ze wsi: niekiedy też oddawano w ręce Magistratu miasteczka najbliższego. Magistraty miast większych, w których się więcej ludzi światłych znajdowało, jakiemi były miasta wojewódzkie, rzadko kiedy wdawały się w sprawy o czary.

Tem bardziej za to srożyły się Magistraty mniejszych miasteczek królewskich, przeciw posądzonym o czary: tu ani wiek ani płeć nie zdołały ocalić, skoro na kogo padło podejrzenie, że z djabłem — jak mówiono — trzyma i na łysej górze bywa. Paść zaś łatwo mogło, gdy najmniejszy przypadek naturalny nadludzkim siłom przypisywano, gdy łatwowierność, nieodłączna towarzyszka ciemnoty i głupstwa, wszystko przypuszczała.

Rzecz zastanowienia godna, że lubo po miasteczkach naszych pełno było żydów, nie masz śladu, aby który żyd lub żydówka pociągani byli przed straszny trybunał na czarownice. Tożsamo nie sądzono godnymi przyjaźni z djabłem dość licznie po miasteczkach naszych mieszkających kacerzy. Szlachtę drobną i ludzi dworskich zasłaniały od prześladowania tego rodzaju, przywileje i swobody stanu.

Badania czarownic i czarowników odbywały się nibyto dobrowolnie. Domyśleć się łatwo można, że dobrowolnie, to jest nie na torturach i innych mękach, nikt się do tego nie mógł przyznawać, czego nie zrobił i zrobić nie mógł, czem nie był i być nie mógł, czego nareszcie nie umiał i umieć nie mógł.

Uważano to więc za upór, który należało przełamać.

Kładziono zatem delikwenta naprzód w kłodę, narzędzie jakieś męki, wiele przykrości sprawiające. Mniej wytrzymali już w pierwszej tej próbie zeznawali to wszystko, czego po nich oprawcy wymagali. Na wytrzymalszych nie można jeszcze było wycisnąć żadnego wyznania w kłodzie. Brano ich więc na tortury.

Gdy na torturach po pierwszy raz nic nie zeznali, brano ich po drugi i trzeci raz; ale już zwykle za pierwszym razem pletli ci męczennicy (ztąd przysłowie: plecie jak na mękach), co im ślina do ust przyniosła, albo raczej to, co z nich oprawcy ich wyciągnąć chcieli.

W zeznaniach swoich powoływali się delikwenci zwykle na innych, a tym sposobem zwykle jedna sprawa o czary pociągała za sobą kilka, kilkanaście, lub kilkadziesiąt, boć rzecz oczywista, że delikwent musiał się od kogoś nauczyć czarów, musiał w towarzystwie z kimś na łysej górze bywać. Te dwa pytania

zadawał sąd zawsze delikwentom, gdyż mu chodziło bardzo o oczyszczenie — jak mawiał — z plugastwa, miasteczka. Niekiedy powołani do sądu wójtowskiego o czary, nie czekali, aż ich na tortury wezmą, ale natychmiast zeznawali, co chciano, żeby zeznali. Mimo tego dla wybadania prawdy, brano ich na tortury.

Wszystkie niemal zeznania posądzonych o czary, były sobie podobne. Delikwent lub delikwentka zaczynali od początku, to jest, kiedy i kto ich nauczył czarów, kiedy byli po raz pierwszy na łysej górze, jakiego djabła lub djablicę mieli za kochanków, co na łysej górze robiono, jak się bawiono, co jedzono, kto się wraz z nimi na tej łysej górze znajdował. Łyse zaś góry były to zwykle wzgórki piaszczyste, za miastem lub wsią leżące, stare dwory, zamki, baszty opuszczone.

Czarownice posmarowawszy się jakąś maścią, wylatywały na miotle kominem i tak przybywały na miejsce schadzki, zwykle późnym wieczorem. W zeznaniach tych czarownic mniemanych czytamy nieraz, że sobie niekiedy w pojazdach szlachty okolicznej, czterema końmi, lub w kolasach księży Proboszczów na łyse góry zajeżdżały. Stałego przeciągu czasu zabawy na łysej górze, w żadnem zeznaniu nie zdarzyło się czytać. Pianie koguta o północy nie przerywało tu (jak duchom lub potępieńcom pokutowania) zabawy, która się zwykle do białego dnia przeciągała.

Również nie zdarzyło się nigdy w żadnem zeznaniu czytać, aby na przejażdżki na łyse góry, pewne stałe dni wyznaczone były: jedna czarownica jeździła na nie w poniedziałki, druga we wtorki, trzecia w środy i tak dalej. Najulubieńszym jednakże dniem były czwartki.

Każda młoda, czy stara, miała zawsze młodego, pięknego i ślicznie ubranego kawalera, który się z nią bawił, tańczył, częstował na łysej górze, a nawet ją do domu odprowadzał. Kawaler ten był zawsze urodziwy, wyjąwszy nóg, które były końskie, ale które on starannie ukrywał. Niekiedy, pomimo wielkiej urody, śmierdział kozłem; czasem dawał swojej polubienicy pieniądze, ale częściej nie był w tej mierze hojnym.

Takie i tym podobne dziwactwa pletły z bólu od zmysłów odeszłe nieszczęśliwe istoty, a ciemni, okrutni ich oprawcy, przysłuchiwali się tym zeznaniom spokojnie, z ciekawością i wiarą, nieuroniając jednego słówka, aby je zapisać w aktach. Żadnemu nie przyszło nigdy na myśl, że gdyby był wzięty na

tortury, wyznałby z bólu nietylko, że jest czarownikiem, ale nawet samym djabłem.

Okazanie alibi (że się gdzieindziej było) nic w oczach sądu wójtowskiego nie znaczyło, miał on bowiem zaraz pod ręką na to odpowiedź taką: „Djabeł w postaci twojej był w tem a w tem miejscu, ale ty sam, albo ty sama byłaś na łysej górze". I tym sposobem alibi stawało się dowodem mocnym przeciw obwinionemu.

Z mnóstwa nieprzeliczonego spraw o czary w dawnej Polsce, przytoczymy tu jednę, to jest: sprawę niejakiego Grzegorza Klechy, spalonego żywcem w Koźminie 1690 roku. Z niej powezmą czytelnicy prawdziwe wyobrażenie o sądach u nas na czarownice, a zarazem o ciemnocie naszych miasteczek na schyłku 17-go wieku i jej okropnych skutkach:

»*Actum in Civitate Magna Cosmin feria tertia ante festum Sanctae Margarethae Virginis et Martyris proxima, Anno Millesimo sexcentesimo Nonagesimo*«.*)

„Za sławnego urzędu wójtowskiego Miasta Wielkiego Koźmina, według prawa urzędownie zagajonego, jako sławetnego Pana Wojciecha Kobuckiego, Wójta natenczas; sławetnych Panów: Malchera Kwiatkowskiego, Landwójta; Pana Jerzego Progerbest, Pana Wojciecha Paszkiewicza, Pana Stanisława Płachty, Tomasza Pisarskiego, Pana Mikołaja Rektorowicza, Ławników przysięgłych. *Inquisitio per acta per spectabile officium suprascriptum* z uczciwego Pana Stanisława Rogalskiego, Mieszczanina Nowego miasta Koźmina, przeciwko pracowitemu Grzegorzowi Klesze. We wtorek *circa horam 10 et 11 ante meridiem in praesentia* (około godziny 10 i 11 przedpołudniem w obecności) JMPana Andrzeja Króla, Burmistrza nowomiejskiego.

„Stanąwszy oblicznie przed tymże sądem wójtowskim zagajonym, uczciwy Stanisław Rogalski, skarżył się na pracowitego Grzegorza Klechę z Nowego miasta, w czarostwie go posądzając i o sprawiedliwość z niego prosząc.

„1. Naprzód. Cztery lata temu minęły przed świątkami, jako żona moja powadziła się z córką Biskupczyną, która już umarła, które sobie zadały czarostwo. Najpierwej Biskupczanka wołała na moją żonę: pijaczko! a ona jej: a ty czarownico! będziesz za mnie płaciła gorzałkę! Biskupczanka mojej żonie: większaś ty czarownica, bo twoja ciotka obiesiła djabła na dę-

---

*) Na polskie: Działo się w mieście Wielkim Koźminie we wtorek przed świętem św. Małgorzaty dziewicy i męczenniczki, roku 1690.

bie. Potemeśmy o to skarżyli się z żoną moją przed urzędem burmistrzowskim za Pana Jana Jantka.

„Kędy stanęła Biskupka z córką, pytano ich, zkądby to miały? Odpowiedziały, że to od Grzegorza Klechy słyszały. Zatem posłano po tego Klechę i pytano go. Klecha odpowiedział, że to słyszał w Gostyniu na odpuście od białychgłów; za co temu Klesze kazano iść na posłuszeństwo; siedział aż do wieczora na Ratuszu, a potem uciekł z miasta.

„Z której okazyi, że on uciekł, sądzono mnie i Biskupkę na winy. Musieliśmy oddać po czterdzieści i pięć grzywien na jedną stronę. Dlaczego dowiedziawszy się o nim w Pleszewie, około św. Katarzyny, jechałem po niego, któregom urzędownie odebrał w Pleszewie, związali mi go miejscy słudzy w domu Pana Burmistrza pleszewskiego i odprowadzili mi go do gospody, gdziem był furę najął dla niego.

„Było to w dzień czwartkowy w domu Pana Macieja Ziemba, Mieszczanina pleszewskiego, z którym zjadłem wieczerzą i tamem nocował w izbie, kędy spał i gospodarz, gospodyni i dziewcze, a ten Klecha przywiązanym był dobrze do stołu przez sługi miejskie w powrozach związany; który w nocy uciekł z tychże powrozów, które zostały u stołu przywiązane i nienaruszone i nierozwiązane, jakoby same z niego opadły i stół nienaruszony. Kędy się temu i gospodarz dziwował, obaczywszy powrozy nienaruszone.

„Nazajutrz w piątek poszedłem do Pana Burmistrza pleszewskiego i powiedziałem o tem, że mi uciekł i jako zostawił powrozy. Czemu się dziwując, rzekł te słowa: Sobieście winni, żeście go puścili, trzymać go było. Zatem prosiłem Pana Burmistrza, jeżliby się powrócił na swoję gospodę do powroźnika, u którego miał rzeczy, ażeby go kazał zatrzymać, a dał mi znać o nim, gdyby się powrócił. Któryto Klecha w kilka niedziel potem przed mięsopusty, przyszedł w nocy do powroźnika, o którym dał znać Panu Burmistrzowi i kazał go wsadzić do twierdzy, a mnie dał znać, pisał list do mnie i do Burmistrza naszego, oznajmując o nim. Kędy ja odebrawszy listy, oddałem Panu Burmistrzowi Jantkowi do niego pisany, który zaledwie czytać chciał, połajał mię i kijem mi dał.

„Potem ja pojechałem do Pleszewa i przywiozłem go i poszedłem znowu do Pana Burmistrza i prosiłem go o twierdzę. On mi rzekł: jakoś bez naszego konsensu (zezwolenia) czynił, szukajże sobie twierdzę, aż cię zabiją. Którego Klechę wsadziłem w łańcuch w domu moim; a potem Pan Burmistrz z Panem Jasińskim jechali do JWPana Radzikowskiego; jechałem

i ja z nimi, kędy przyjechawszy, skarżyli na mnie, że tego człowieka niewinnie posądzam, bo to człowiek dobry i nic nie winien.

„JWPan Radzikowski także mnie połajał z ich udania i mało mnie też nie uderzył. Rzekł mi te słowa: aż cię zabiją, kiedyś tak uczynił, trzymaj go sobie aż do mego przyjazdu; trzy dni i cztery noce kędy zostając u mnie, słał sobie po żonę swoją i kazał jej pobrać do siebie kożuch i suknie, mówiąc jej: pobierz to, bo ja już ztąd nie wyjdę, kat to pobierze wszystko! te słowa zatem mówiąc: ale też nie sam pójdę z tego świata; pójdą też i drugie.

„Za temi słowami jam go spytał: A któreż też, miły Grzegorzu? Odpowiedział mi: Jantkowa, tej nie odstąpię, Owczarka Jakubowa i Garnczarka Potoczyna. Zatem ja nie mając znikąd pociechy, ani od dworu, ani od Burmistrza, ani straży nie mając, kazałem czwartej nocy żonie popuścić tego Klechę, który potem zaraz uciekł z miasta i nie było go więcej niż półtora lata. Dla tegoż, że on uciekł, mnie znowu sądzono na grzywien trzydzieści, na którem musiał oddać grzywien piętnaście.

„W tenże czas, kiedy u mnie siedział w łańcuchu, przyszła żona jego; będąc w domu moim, rzekła do mnie te słowa: Stanisławie! jeżelibyć on co umiał, tedy go nikt nie nauczył, tylko ta Biskupka, bo tam często bywa! A za temi słowami rzekła: Dojrzałam ja go raz w nocy we czwartek, spałam na łóżku, a onego nie było, ocknąwszy się, zaświeciłam świecę i wyszłam do sieni, a on siedział na ognisku w kominie, nogi zimniuśkie jak lód, i pytałam go: Co tu robisz? A on mi odpowiedział: Jam był u Kaśki. — Na które zeznanie będąc pytany od sądu, jeżeliby to wszystko prawda była jako zeznaje i jeźli tego gotów juramentem potwierdzić, który *suo corporali juramento* zeznaje, że to wszystko prawda, gotowem na to wszystko przysiądz i onego w tem posądzeniu o czarostwo biorę na sumienie swoje i o sprawiedliwość proszę.

„Tenże Stanisław Rogalski i to zeznaje *coram judicio* (wobec sądu), iż temu jest ze sześć niedziel albo więcej, chłopiec mój jechał na południe do domu z pługiem w dzień piątkowy, kędy brukarz naprawiał groblą, a ten Klecha pomagał jemu robotę, na którego chłopiec zawołał, żeby mu się umknął, mówiąc mu: Umknijcie się Grzegorzu! Który się nie umknął, ale się zbliżył do konia, na którym chłopiec siedział i trącił go sobą.

„Popołudniu chłopiec jechał w pole, konie były zdrowe i pasł je na pszenicy, alem przyszedł do niego, a chcąc zaprzągać do pługa, aż koń kulawy na przednią nogę lewą, która spuchła w pętlinie, a potem puchlina szła aż do łopatki. Jam rzekł chłopcu: coś temu koniowi zrobił, musiałeś ty szaleć nie jechać, albo w moście zawadzić nogą. Na co chłopiec przysięgając się, rzekł: Nic inszego, tylko ten złodziej Klecha to mi zrobił, bo mi się nie chciał umknąć i pod konia mi się bardziej cisnął, kiedym na niego wołał.

„W sobotę przedpołudniem obesłałem tegoż Klechę przez Andrzeja Kielisia z strony tego konia, jakom widział, że leżał na połeć a stękał, twierdząc, że to jego sprawka. Na co on Kielisiowi odpowiedzia: dawno ten Kozydaj wszystko na mnie udaje, ale dobrze, dobrze, będziemy się spierać z sobą. Kiedybym ja co umiał, nie ożeniłbym się z tą żoną, anibym był nie przyszedł do miasta. Od którego Kielisz powróciwszy nazad do Rogalskiego, to jemu opowiedział te słowa jako Klecha mówił: i tenże Andrzej Kielisz, wobec sądu pod przysięgą zeznał. Który Rogalski to twierdzi, że naraz temu koniowi poczęło się poprawiać w sobotę po obesłaniu i w poniedziałek koń był cale zdrowym i robił nim, co także twierdzi sumieniem dobrem pod przysięgą, że ten koń z okazyi tego Klechy chorował“. (Dok. nast.)

## Pierwsze Towarzystwo wstrzemięźliwości.

Było to w niedzielę Zapustną. — W ubogiej ale czystej izdebce starej Maciejowej, wdowy po zmarłym oddawna mularzu, ogień suty płonął na kominie. Koło ognia siedział na dębowej ławie stary Bartłomiej, krewniak nieboszczyka, człowiek stateczny i bywały, co z niejednego pieca chleb jadał, nie jedno widział i rozważał na świecie, a zakon Boży wypisany miał w sercu. Maciejowa z córką Kasią, rumianą jak jagoda, czyniła przyrządy do wieczerzy. Z całej rodziny brakło tylko Janka Ślusarczyka, dwudziestoletniego syna Maciejowej.

Matka niespokojnem okiem oglądała się na drzwi ustawicznie, co chwila przytykała głowę do szyby, ale na wąskiej uliczce pusto było — i zdaleka tylko dolatywała wrzawa z narożnego szynku — połączona z wesołem graniem katarynki.

Rozmowa jakoś nie szła, stary Bartłomiej dobywał co chwila tabakierkę brzozową z kieszeni, zażywał sam, czasem

poczęstował Maciejową, ale nikt nic nie mówił — słowa jakoś nie wybiegały na usta, bo frasunek leżał w sercach wszystkich.

Wieczerza była wreszcie gotowa — Kasia nakryła stolik czystą bielizną. Maciejowa odstawiła od ognia garnek z kartoflami, okrasiła je słoniną, wyłożyła na glinianą misę, na drugą zaś wylała tatarczane kluski z polewką. — Woń przysmażanej cebuli rozeszła się po izdebce. Wszyscy przeżegnawszy się po Bogu, obsiedli stolik i zabrali się do wieczerzy.

— Trudnoć już czekać dłużej — odezwała się smutno Maciejowa — kto późno przychodzi, ten sam sobie szkodzi, dobrze mówi przysłowie.

— Nie frasuj się matko! — odparł Bartłomiej — ot zwyczajne młode piwo, szumi i wyszumi.

— Bywa czasem, że i skwaśnieje — rzekła matka, poruszając głową z powątpiewaniem.

— Prawda, bywa i to — rzekł Bartłomiej — to też nie trzeba dopuścić tego matko.

— A cóż ja poradzę nieboga! — zawołała biedna kobieta, ocierając oczy fartuchem — jaćbym sobie krwi własnej utoczyła, żebym wiedziała, że to pomoże! Oj, ciężko mnie Pan Bóg nawiedził, twardy krzyż włożył mi na ramiona. Co robić? niech się dzieje święta Jego wola! Jeszcze to do końca zeszłego roku szło nam wszystko składnie i po Bogu — życie wiło nam się jakby z płatka, wszystkie sąsiadki i znajome zazdrościły mi doli. Aż tu w zapusty jakby uciął. Janek wdał się w niedobre towarzystwo, zaczął często gęsto zachodzić do szynku, a jak raz zakosztował złego — tak też teraz niema końca ani miary. Mój Ty Boże! jak ja się to dawniej cieszyłam na każdą niedzielę i święto. Cały tydzień znosiło się biedę i pracowało z ochoczem sercem, byleby za to w dzionek Boży nacieszyć się i nagadać z dzieciakami przy ciepłym kominie. I długo było tej pociechy, — aż oto nareszcie się złe przyplątało i bruździ, a odczepić się nie chce.

— Nie upadaj tak na duchu, matko — rzekł Bartłomiej — przeżyłaś żywot poczciwie, to cię Bóg nie opuści, wszystko jeszcze będzie dobrze, a złe samo rozbije się o Bożą mękę.

Gdy domawiał tych słów, ucho matki posłyszało odgłos kroków w oddaleniu. Niebawem też i drzwi się otworzyły, a Janek wszedł do izdebki. Odzież jego była w nieładzie, chustka krzywo zawiązana na szyi, z pod czapki na bakier przechylonej, wysuwały się potargane włosy, — twarz płonęła nazbyt jaskrawym rumieńcem.

Wszedł Janek trochę zawadjacko do izdebki, ale spojrzawszy z pod oka na smutną i milczącą matkę, na zasępioną Kasię i pochmurzonego Bartłomieja, stracił jakoś fantazyę, zapomniał języka, nie wiedząc, jak to mówią, z której beczki zacząć, zdjął tylko czapkę nieśmiało, rozgarnął włosy ręką, na dany znak przez matkę zbliżył się do stolika, usiadł cicho jak trusia i po trochu jął się posilać wieczerzą.

Po wieczerzy Kasia sprzątnęła misy i talerze, rodzina obsiadła ognisko, Janek tylko usunął się nieco jakby zmyty. Czuł, że źle zrobił, a że był z natury chłopak dobry, sumienny i szczerze przywiązany do matki, chociaż więc trunek szumiał mu jeszcze w głowie, a w uszach brzmiała katarynka, słyszał jednak tajemny głos w duszy, co go ostrzegał o popełnionej winie.

Dość długo trwało milczenie. Bartłomiej przerwał je na koniec.

— Chodźno tu chłopcze! — rzekł — siadaj przy mnie, mamy z sobą na pieńku.

Janek posłuszny uczynił zadość woli starego.

— Źle sobie poczynasz, mój kochany — mówił dalej Bartłomiej — trapisz pożal się Boże biedne matczysko, a wiesz przecie, że Pan Bóg nie puści tego płazem. Wszedłeś na śliską drogę, a pamiętaj, że tak w złem jak i w dobrem pierwszy krok najwięcej znaczy. Jeśli się nie pomstrzymasz w samą porę, spadniesz na łeb na szyję i zginiesz jak ruda mysz, kiedy wpadnie w kocie pazury. Strzeż się więc, mój Janku, nie zaprzedawaj złemu duszy, bo ci ją Bóg dał na obraz i podobieństwo swoje.

Janek skłonił się pokornie do kolan Bartłomieja.

— Przeproś matkę — mówił stary — boś ją ciężko obraził, pamiętaj, że każda łza rodzicielska, pada jak ukrop na duszę złych dzieci i o pomstę woła do nieba. Czcij ojca i matkę twoją, nie darmo uczy czwarte przykazanie, a kto go nie spełni, ten nawzajem nie będzie miał pociechy z własnych dzieci.

Janek przejęty serdecznym żalem, upadł jak długi do nóg Maciejowej, poczciwa kobieta zapłakała rzewnie, podniosła syna i przycisnęła jego głowę do gorącej macierzyńskiej piersi.

— Nie gniewajcie się, droga matko! — zawołał Janek, roztrzeźwiony do reszty głębokiem wzruszeniem. — Jak mi Bóg miły, będę się chciał poprawić. Już ze mnie nigdy nie będziecie mieli zgryzoty, ale jedno radość i pociechę. Bogdajem ręce i nogi połamał, jeżeli kiedy zajrzę jeszcze do tego

przeklętego szynku. — Żeby mnie złe nie wiem jak kusiło, odepchnę je precz od siebie.

— Miej tylko silną wolę, mój synu, a pokusa cię nie zmoże, ale sama ucieknie przed tobą, — rzekła matka z rozjaśnionem okiem.

— Święte słowa — dodał stary Bartłomiej — mocna wola, a toć to niechybna zapora przeciw wszelkiemu złemu. Wolą hartowną jak żelazo, człowiek cudów nawet dokona, bez woli zaś, staje się równym bezrozumnemu bydlęciu. Posłuchajcie oto moi mili! a opowiem wam, do czego silna wola doprowadzić może człowieka. — Mój panisko, co to zawsze w księgach ślęczy, istnie jakby mól, powiadał mi, co wyczytał niedawno. A rzecz to prawdziwa jak słońce na niebie, nie żaden wymysł ludzki.

Maciejowa przysunęła się do ognia, przyrzuciła na komin parę smolnych drewek. — Janek usiadł przy matce, trochę ośmielony, Kasia umieściła się na niskim stołeczku, stary zażył tabaki dla lepszego zebrania myśli. Cicho było w izdebce jakby makiem zasiał. Wszyscy nadstawili ciekawie uszu, na słowa poczciwego Bartłomieja.

— Owóż, mówił on, było to niedawnym czasem, ale gdzieś daleko, daleko za morzami, pono aż w Ameryce na drugiej stronie ziemi, bo wiadomo wam przecie, że ziemia okrągła, nie przymierzając, jakby wielkie jabłko. W dużem jednem mieście *), nie pomnę już nazwiska (bo te zamorskie kraje i miasta cudacznie się jakoś nazywają), w wielkiem mówię mieście, mieszkała sobie poczciwa rodzina wyrobników. Pracowali po Bogu na kęs chleba i Bóg im też błogosławił we wszystkiem. Roboty było dosyć, bo to w tym kraju więcej, jak mówią, ziemi niż ludzi, nie brakło więc i dostatku. Aż nakoniec i złe się przyplątało, bo złe czyha zawsze i byle się człowiek nie strzegł i pozwolił mu przystępu, to go wnet opanuje, że potem nie łatwo mu przychodzi oswobodzić się z jego sideł.

Rodzina wyrobników naszych, nie pomnę już nazwiska, składała się z ojca, matki, dziesięcioletniej dziewczynki Anusi, i kilkorga młodszych dzieci. Ojciec zrazu statkował, ale pomału pociągniony złym przykładem, zaczął od czasu do czasu zaglądać do pobliskiego szynku. Z początku bywał tam jedynie tylko w niedzielę, potem gdy się rozhulał w dzień świą-

*) Miasto, o którem mowa, leży w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, i nazywa się B a l t i m o r e. Rzecz cała prawdziwa, zdarzyła się przed kilkudziesięciu laty. Główny bohater naszej powieści nazywał się Hawkins.

teczny, nie sporo mu było wracać w poniedziałek do roboty, aż nareszcie przyszło do tego, że wszystkie dnie w tygodniu, czy to piątek, czy świątek, trawił przy kieliszku i butelce, nie myśląc o tem, że w domu głód i nędza, że biedne żonisko pourabiało sobie ręce od ciężkiej pracy, aby wystarczyć na codzienne potrzeby.

Nie on sam jeden trawił życie w szynku, miał bowiem do kieliszka pięciu zawołanych towarzyszów, którzy wraz z nim grzeszne i próżniacze wiedli rzemiosło. Stary nasz wyrobnik czuł, że obraża Boga, przeklinał też drugich i siebie, przyrzekł sobie poprawę, ale jak raz zajrzał do szynku, nałóg brał górę nad nim i wszelkie dobre postanowienia na nic się nie przydały. Powracał zawsze do domu w późną noc, najczęściej z podbitem okiem, albo rozciętą głową.

Zdarzyło się, że idąc omackiem po wschodach na poddasze, upadł nieraz jak długi i byłby tak przeleżał do rana, jak nieboskie stworzenie, gdyby nie mała Anusia. Ale poczciwe dziewczątko nigdy nie poszło spać, dopóki ojciec nie powrócił — gdy nieboga usłyszała, że idzie, wychodziła naprzeciwko niego i ostrożnie prowadziła go po wschodach; jeżeli zaś zdarzyło się, że upadł, a ona nie mogła go podźwignąć, to przynajmniej przynosiła mu płaszcz i poduszkę na wschody, otuliła go ciepło i jak dobra córka, przesiedziała przy nim do rana.

Matka zrazu płakała, lamentowała, zaklinała męża, aby się ustatkował, ale przekonawszy się, że słowa jej padają próżno, jakby groch na ścianę, ofiarowała wszystko Panu Bogu, pracowała na chleb dla dzieci, a o męża poczęła dbać nie wiele. Anusia tylko strzegła ojca, jakby źrenicę oka. Jak tylko nasz wyrobnik obudził się o świcie, natychmiast posyłał córkę po wódkę do szynku. Płakała biedaczka, padała ojcu do nóg, ale gdy to wszystko nie pomagało, jak posłuszne dziecko, musiało czynić zadość jego woli.

Nadeszła zima, najokropniejsza nędza dała się we znaki biednej rodzinie. Jednego poranku nasz wyrobnik chory na ciele, skołatany na duszy, ocknął się ze snu i niewiele myśląc, rozkazał iść Anusi po wódkę. Dziewczątko jakby natchnione łaską Bożą, nie chciała posłuchać ojca w żaden sposób.

— Mój ojcze! — mówiła, szlochając nieboga — wszystko zawsze zrobię, co każesz, ale dziś nie pójdę do szynku. Coś mi wyraźnie szepcze do ucha, żebym tam nie chodziła.

Rozgniewany ojciec, zerwał się co tchu z łóżka, zarzucił płaszcz na ramiona i zataczając się, wyszedł z izby. Zaszedłszy do szynku, zastał już siedzących u stołu towarzyszów. Przed każdym stała pełna butelka i nalany kieliszek. Wtem jeden z nich, jakby nagle oświecony Bożem światłem, zacisnął rękę, uderzył pięścią o stół, aż zaszczęknęły kieliszki i butelki i zawołał na cały głos:

— Moi bracia! powiedzcie sami, czy my nie szaleni, potrzebne też to rzeczy przesiadywać tu, jak nieboskie stworzenia? niszczyć zdrowie napróżno, żony i dzieci wystawiać na głód i nędzę. I na co to wszystko? oto chyba na to, żeby tuczyć tego upaśnego wieprza. To mówiąc, wskazał ręką na szynkarza, co stał zdziwiony za szynkwasem.

— Prawda jak Bóg Bogiem, prawda, powtórzyli wszyscy.

— Słuchajcie oto — dodał pierwszy. namyśliwszy się chwilę. — Wszyscy, ilu nas tu jest, przysięgnijmy sobie przed Bogiem, że żaden z nas, zacząwszy od dziśdnia, nie skosztuje wódki. Nie pomrzemy bez niej naprawdę, a przynajmniej nie będziemy mieli na sumieniu naszych niewiast i dzieci.

— Dobrze mówi — odezwali się wszyscy: szynkarz tylko skrzywił się jakoś i zafrasował widocznie.

Owóż powiadam wam — ciągnął stary Bartłomiej — wszyscy, ilu ich było zobowiązali się przysięgą, że odtąd wiernie zachowają wstrzemięźliwość od trunków. A że to byli ludzie pismienni, bo tam w zamorskich krajach lada kto podobno pisać umie, przynieśli sobie papieru — spisali ugodę i poręczyli sobie na piśmie, że odtąd póki życia nie skosztują ani wódki, ani żadnego trunku. Podpisali się wszyscy i nasz wyrobnik poszedł w ślady za drugimi.

— Miły Boże — zawołała Maciejowa — jakaż to była radość dla biednej żony i tej Anusi niebogi!

— Ledwie że wszedł do domu — ciągnął Bartłomiej — padł na ławę, a łzy jak groch pobiegły mu po twarzy. Żona i Anusia przyskoczyły niespokojnie do niego. Uspokoiwszy się trochę, opowiedział im wszystko, co zaszło.

— Bądźcie dobrej myśli — rzekł — podpisałem umowę i dotrzymam jej wiernie. Będę znowu pracował jak dawniej, a Bóg ześle łaskę i błogosławieństwo w nasze progi.

Anusia padła do nóg ojcu, — uradowana matka, dziękowała Bogu ze łzami.

I czy też dotrzymał słowa? — zapytała Maciejowa z niedowierzaniem.

Nietylko że dotrzymał — odparł Bartłomiej — ale po kilku latach, gdy zapewnił stały byt rodzinie, zmówiwszy się z pięcią towarzyszami od kieliszka, co równie jak i on, porządne odtąd wiedli życie, postanowił razem z nimi obchodzić wielkie miasta w swoim kraju — i namawiać zawołanych pijaków, aby porzucili haniebny nałóg — i poprzysięgali wstrzemięźliwość. Każdy z nich w obec ludzi spowiadał się z ciężkich grzechów, wszyscy głosili, jak łaska Boża spoczęła nad nimi i skłoniła ich do poprawy. A trudy ich nie były marne, bo ludzie przyjmowali do serca ich słowo i jakby muchy na lep, tak lgnęli do nich, skłaniając chęci ku dobremu.

Owóż to, moi mili, tym sposobem zawiązało się pierwsze towarzystwo wstrzemięźliwości i z Ameryki rozeszło się po całym świecie. Tysiące zawołanych pijaków wyrzekło się kieliszka i dziś jak Bóg przykazał, żyje w pracy i uczciwości. Pan Bóg dał człowiekowi rozum i wolę, odróżniając go tem samem od bezrozumnych zwierząt, niechże więc człowiek umie użyć tej woli na poskromienie się w złem i wyzwolenie własnej duszy, z zastawionych na nią sideł. Gdyby człowiek nie walczył, nie miałby też i zasługi. — Tak też i ty Janku! walcz sam z sobą i wytrwaj w dobrem, a zjednasz sobie błogosławieństwo matki i łaskę dobrego Boga w Niebie.

Janek upadł do nóg Bartłomiejowi i poprzysiągł, że nic odtąd nie zwróci go z dobrej drogi. Stara Maciejowa ze łzami pobłogosławiła syna, Kasia płacząc z radości, przyrzuciła na ogień kilka drzazek. — Płomień jasno oświecił białe ściany izdebki i ochocza pogadanka późno się w noc przeciągnęła.

# DWIE KOSZULE.

**Opowieść prawdziwa, — napisał SILEF.**

Na wzgórzu, u stóp Karpat, legło miasto S.

W którąkolwiek stronę rzucisz stąd okiem, widzisz przed sobą duży szmat kraju, zasiany wioskami i lasami. Z dwóch stron wzgórza przelewają się po kamienistych korytach dwie bystre rzeki i łączą się razem tuż pod samem miastem. Ich skaliste, gdzieniegdzie prawie prostopadłe brzegi, sterczą wysoko ponad wodą i wyglądają zdaleka jakby resztki obronnego muru. Patrząc się na nie, sądzisz, że masz przed sobą średniowieczną twierdzę. To położenie miasta pieści oko, ale niemniej zachwyca i pociąga ku sobie przymiejska okolica.

Ile razy w moich podróżach wypadło mi tutaj dłużej się zatrzymać, — zawsze z niewymowną radością puszczałem się za miasto, dążąc przeciw biegowi rzeki, ażeby powrócić na małem czółnie. Czółno wynajmowałem od rybaka. Mały chłopczyna siadał ze mną, a gdy przypłynąłem do miasta i wysiadłem, on brał wiosło do rąk i płynąc w górę, wyśpiewywał wesołe piosnki rybackie.

Raz w wieczór letni przybyłem jak zwykle do chaty rybaka, lecz nie zastałem nikogo. Chata była zamknięta. Nie mogąc dostać czółna, musiałem wracać pieszo. Czas był prześliczny. Szum wartko płynącej wody dziwnymi tonami mile wpadał do ucha. Błękit nieba, niezamącony żadną chmurką, odbijał się w zwierciadle wody, ponad które od czasu do czasu wyplusnęła rybka i szybko zapadła w fale, zdziwiona, że blask słońca jaśniejszy od jej lśniącej łuski. Promienie zachodzącego słońca, odbite od powierzchni wody, oświecały blado-różowem światłem zwieszające się nad rzeką skały i nadawały im dziwne fantastyczne kształty.

Szedłem jakby upojony tem pięknem przyrody, gdy nagle zagłuszył mnie łoskot pociągu, wjeżdżającego na most żelazny, rzucony śmiało przez rzekę. Zdziwiłem się, że tak prędko przebyłem całą drogę i nie zauważyłem nawet, że znalazłem się pod miastem.

Wydrapawszy się na brzeg, wszedłem niezadługo w wąską uliczkę, prowadzącą tuż około więzienia. Wysoki mur okalał gmach więzienny. Zakratowane okna spoglądały ponuro na przechodzących i zdawały się mówić: Biada temu, kto się dostanie w ręce sprawiedliwości! Wrażenie przygnębiające. Już miałem skręcić w inną ulicę, gdy oto zwrócił moją uwagę tłum dzieci, otaczających małego chłopca wiejskiego. Chłopczyna wsparty o mur więzienia, rzewnie płakał, ocierając łzy rękawem. Zaciekawiony tą gromadą malców, podzielających widocznie smutek wiejskiego kolegi, zbliżyłem się do nich i pytam się chłopczyka czysto ubranego:

— Czy nie wiesz ty, moje dziecko, dlaczego ten chłopiec pod murem płacze?

— Nie wiem — odrzekł zapytany, patrząc mi śmiało w oczy. — Niech on sam panu powie, a ja pobiegnę do domu i przyniosę mu chleba, bo może on głodny.

Puścił się jak strzała w ulicę, a ja zbliżywszy się do płaczącego, poznałem w nim owego chłopca, z którym nie raz jeden płynąłem łódką. Wziąłem go za rękę i pytam:

— Powiedz mi, mały, czemu ty płaczesz?



FLISACY.

Zmieszał się biedak i jeszcze głośniej zaczął szlochać. Z trudnością powiodło mi się co nieco go uspokoić. Wtedy pytam go powtórnie łagodnemi słowy:

— Powiedz mi, mój kochany, co cię tu sprowadziło pod mury więzienia i skąd ten płacz? Nie bój się, ja ci nic złego nie zrobię, a mogę ci dopomódz, tylko mów śmiało i prawdę.

Spojrzał na mnie niedowierzająco pięknemi niebieskiemi oczyma i wpatrywał się we mnie przez czas jakiś, jakby sobie coś przypominał. W końcu ośmielony tak zaczął:

— Rok temu żyliśmy szczęśliwie we troje; matusia, brat starszy i ja. Brat zarabiał na życie, ja dopomagałem mu w pracy i mieliśmy co jeść. Przyszła jednak ciężka zima. Lód pokrył wodę, a roboty innej nie można było nigdzie dostać. Śniegi zasypały drogi. Bogaci gospodarze siedzieli w ciepłych chatach, a nam było chłodno i głodno. Wychodził brat kilka razy za robotą, lecz jej nie znalazł i wracał zawsze z próżnemi rękami. Nadeszły godnie święta, a u nas w komorze pusto, a w chacie tak zimno jak na polu. bo nie było drewienka, ażeby ją ogrzać. Poszedł brat do pańskiego lasu, uzbierać choć trochę suchych gałązek. Nie udało mu się, bo spostrzegli go leśni. Przypadli do niego, odebrali mu płachtę i zaczęli go okładać toporkami. Brat był chłop silny. Nie mogąc przenieść tego, że się nad nim pastwią, wyrwał jednemu leśnemu toporek i tak go nim w głowę uderzył, że tenże padł jak nieżywy na ziemię. Drugi leśny widząc to, uciekł. Leżał gajowy, zalany krwią, jakby martwy. Ale brat wnet się upamiętał. Zrobiło mu się żal człowieka, którego w gniewie tak ciężko zranił. Podszedł ku niemu i ukląkł nad nim, ażeby mu krew zatamować. W tej chwili drugi leśny z dwoma chłopami wyskoczył z gęstwiny i zaczął krzyczeć: Patrzcie, oto jeszcze po śmierci go morduje, będziecie świadczyć przed sądem. Tak się też stało. Na drugi dzień przyszli żandarmi z bagnetami, skuli bratu ręce łańcuszkami i tak pognali go do miasta.

— A cóż się stało z leśnym — rzekłem, przerywając mu opowiadanie — czy może umarł?

— Nie, panie, — odrzekł chłopczyna. — Dzięki Bogu po dwóch godzinach oprzytomniał, a za dwa tygodnie był już całkiem zdrów. Lecz brata jak wzięli, tak trzymają w tem więzieniu i nie wiemy nawet, kiedy nam go wypuszczą.

Po tych słowach rozpłakał się na nowo i tak rozrzewnił, że nie mógł mówić. Domyśliłem się, że przyszedł odwiedzić

brata, ale się spóźnił i nie chcą go wpuścić. Więc mówię znowu do niego:

— Widzisz, moje dziecko, teraz już późna godzina, nie pozwolą ci brata zobaczyć. Idź do domu, bo cię noc zaskoczy w mieście.

— A jakże ja pójdę do domu, kiedy straciłem dwie koszule, które matusia uszyli i kazali mi bratu zanieść!

— Jakto? — zapytałem zdziwiony — straciłeś koszule podczas drogi przez nieuwagę?

— Nie! panie, całą drogę uważałem na nie i doniosłem je do miasta.

— Więc jak się to stało, że je straciłeś dopiero w mieście? — pytam go dalej.

Łzy zakręciły się w oczach chłopczyny i na wpół z płaczem tak mówił: Przyszedłem ja do miasta, ale miasto jest wielkie i nie wiedziałem, gdzie się obrócić. Szedłem jakąś ciasną, brudną ulicą, pytając się przechodniów, którędy się idzie do więzienia. Nikt mi jednak nie chciał pokazać drogi, każdy mówił jakby w złości: idź którędy chcesz, a zajdziesz. Wszyscy zbywali mnie żartami i śmiechem. Łzy zakręciły mi się w oczach i szedłem przed siebie, nie wiedząc gdzie, aż nagle uczułem czyjąś rękę na ramieniu. Oglądam się i widzę obok siebie starą żydówkę.

— Dokąd ty idziesz? — zapytała mnie stara.

— Do brata — odrzekłem.

— Nu, a gdzie jest ten brat?

— W więzieniu — odpowiedziałem.

— Jeżeli ty chcesz tam iść, to ty musisz mieć naprzód kartkę, żeby cię tam wpuścili, bo bez kartki tam się nie dostaniesz.

— A skądże wezmę tę kartę?

Na to żydówka: No, chodź, ja cię zaprowadzę do tego domu, gdzie te kartki wydają. Usłuchałem. Stara szła przodem, ja za nią. Przechodziliśmy przez wiele krętych uliczek, pełnych brudu i śmieci, aż wreszcie stara stanęła przed wielkim domem i rzekła: To jest tu! Idź teraz prosto przez podwórze, a w tym małym domku za podwórzem wydają karty. Po chwili zaś od niechcenia dodała: No, ale tobie nie dadzą karty.

— Przez co mi nie dadzą? — zapytałem.

— Przez to, że ty masz jakieś zawiniątko, a z tem nie wolno nikomu iść do więzienia, bo tam zakazano przynosić cokolwiekbądź kajdaniarzom.

— Cóż ja teraz pocznę, kiedy matusia przykazali iść do brata i zanieść mu to, co mam.

— Jest na to rada — rzekła stara, — zostaw przy mnie zawiniątko, ja na ciebie zaczekam, ty tymczasem dostaniesz kartkę i potem już pójdziesz sobie do brata.

— Usłuchałem jej rady. Zostawiłem tłómoczek, w którym były dwie koszule przy żydówce i poszedłem do owego domku w końcu podwórza. Długie było podworze i dobra chwila czasu upłynęła, nim dostałem się do drzwi domku. Chcę otworzyć, — nie mogę, zaczynam stukać, ale i to nic nie pomaga. Cicho dokoła. Wybiegam na ulicę, ażeby powiedzieć żydówce, że dom zamknięty. Jej już nie było na ulicy. Zniknęła przez tę chwilę wraz z zawiniątkiem, które położyłem przy niej. Zacząłem jej szukać po całej ulicy, wołałem, płakałem, lecz nadarmo. Nie ujrzałem jej więcej.

Gdy to powiedział, łzy stanęły mu w oczach; milczał i patrzał na mnie jakimś dziwnym wzrokiem. Zdawało mi się, jakoby mi dziękował, żem go wysłuchał.

— Nie płacz — rzekłem — to się już nie wróci. Ja doniosę o tem policyi, ale czy się jej uda wyśledzić niepoczciwą? Teraz idź do domu i zanieś to matusi. To mówiąc, włożyłem mu do ręki kilka srebrnych monet i oddaliłem się zajęty myślami, jak to zawsze przebiegły ród żydowski, biednych i nieporadnych chrześcijan w nieludzki sposób wyzyskuje.

# DUCH ZDRAJCY.

### Bośniackie podanie ludowe.

Wśród przepaścistych i dzikich jarów
Prowadzi droga w piękne ustronie,
Co mimo wszystkich przyrody czarów
Przestrach obudza w wędrowca łonie.
Już zdala widne sterczące skały
Jako olbrzymy wyrosłe z ziemi;
Nad niemi obłok wije się biały
A na nich słońce blaski krwawymi
Takie potworne kreśli obrazy,
Jakich nie stworzą fantazyi skrzydła:
Widać, że owe olbrzymie głazy
Szatańskich sztuczek kryją mamidła.

U ich podnóża, w jarach głęboko,
Spieniona fala o brzegi bije:
Tutaj rozlewa wody szeroko,
Ówdzie je w wązkich przepaściach kryje.
Lat temu wiele na skał tych trzonie
Bobowac — ziemi bośniackiej chwała —
W falach się kąpie, w obłoku tonie
Cudnym, gdy zorzy rumieńcem pała.
Twierdza to silna i niezdobyta:
Bronią ją baszty twarde z granitu
I głębia wody w jarach ukryta
O jasnej barwie niebios błękitu.
Napróżno Turczyn, ufny w swe siły,
O twarde skały oręże kruszy;
Napróżno działa jak gromy biły:
Tej twierdzy żadna siła nie wzruszy.
Broni się mężnie szczupła załoga,
Ni krwi, ni życia w walce nie szczędzi;
Niesie zniszczenie w szeregi wroga,
Gdy się pod mury twierdzy zapędzi.
Lecz szatan wodza załogi kusi
Szepcząc do ucha: „wkrótce nie stanie
Żywności, twierdza z głodu paść musi;
Bierz, gdy czas, złoto za jej wydanie.“
Posłuchał niecnych rad kusiciela
Chciwy dowódca: za złota wory
Wpuścił do środka nieprzyjaciela
Z bram wysunąwszy nocą zapory.
I padły mury, wieże zamkowe.
— Z całej ich liczby dwie dziś zostało —
Wkoło milczenie straszne, grobowe,
Gdzie było rojno i życie wrzało.
Polegli mężni obrońcy grodu
Ale i wódz ich nie wyszedł cały,
Bo wróg sam gardząc zdrajcą narodu,
Kazał go strącić w przepaść ze skały.
Przeszło lat wiele... nad ruinami
Zapada słońce, księżyc wypływa;
Czasem poigra burza wichrami
Albo się puszczyk nocą odzywa.
I zanim zegar północ uderzy,
Snuje się widmo jak tuman mglisty;
Postoi chwilkę u ruin wieży

I spada nagle w jar przepaścisty.
Szum, wrzaski, jęki dochodzą ucha,
Woda się burzy i pianą ciska,
Znać, że moc straszna upiora-ducha
Wyprawia w jarze dzikie igrzyska.
Wodza to dusza: za zdrady winę
Przekleństwem braci tutaj zaklęta,
Sili się wyrwać w duchów krainę,
Ale ją wiążą przekleństwa pęta.
Więc tylko targa łono kamienne
I rzuca gruzy z dziką rozpaczą,
Aż wybłyskują smugi płomienne,
Aż fale wody jęczą i płaczą.
Lecz śmiech szatanów głuszy te jęki,
Jakby puszczyki wkoło się śmiały:
„Nie dosyć jeszcze dla ciebie męki,
„Choćby te głazy z tobą płakały.
„Przekleństwa braci twojej ojczyzny
„Nie zmyją wszystkie łez oceany:
„Kto raz w jej żyły nalał trucizny,
„Ten na cierpienia wieczne skazany“.
I z głuchym jękiem brzęczą łańcuchy,
Skalne się łono kruszy i chwieje,
Dziko się śmieją piekielne duchy...
Nie masz litości, nie masz nadzieje!
Zrywa się burza.. padł grom daleki
A błyskawica pisze na wieki
Przekleństwo tobie zdrajco na wieki
I w piekle nie masz miejsca dla ciebie.

Cz. Grzybczyk.

# O Chinach i Chińczykach.

Chiny są olbrzymiem państwem, liczą przeszło 400 milionów mieszkańców i leżą w Azyi, na dalekim wschodzie.

Chiny są jednem z najstarszych państw na świecie i posiadają bardzo starą oświatę, czyli cywilizacyę. Powiadają, że jeszcze na 2000 lat przed narodzeniem Chrystusa Pana, znane już były u Chińczyków wyroby metalowe i kwitnął przemysł, a gliniane naczynia znali Chińczycy na 3000 lat przed Chrystusem Panem, co dowodzi rzeczywistej starożytności ich cywilizacyi.

Papier mieli Chińczycy już w roku 154 po narodzeniu Chrystusa Pana, a w roku 119 puszczali już w obieg papierowe pieniądze.

Druk zapomocą drewnianych tablic przypada na rok 583 lub 593 ery chrześcijańskiej, czyli na 1000 lat wcześniej zanim go wynaleziono w Europie, czcionkami zaś ruchomemi zaczęto drukować około roku 1049, a więc na 500 lat wcześniej niż w Europie.

Jedwabnictwo i uprawa roli istniała w Chinach od najdawniejszych czasów.

Jeden z cesarzów chińskich rozkazał przed 2000 lat zbudować „wielki mur“, który dotąd przetrwał i stanowił niegdyś granicę Chin właściwych od Mandżuryi, dziś już do Chin wcielonej.

Mur ten zaczyna się niedaleko miasta Pekinu i ciągnie się ku rzece Amurowi na długości 2000 kilometrów, przez wysokie góry i głębokie jary, stepy i pustynie. Mur ten chiński zbudowany jest z głazów granitowych i cegły, szeroki tak, że sześć wozów może się na nim swobodnie wyminąć.

Co tysiąc kroków wznoszą się na nim czworograniaste wieżyce, z oknami i strzelnicami. Podobno dwieście lat trwała budowa tego muru.

Ludność Chin skupia się przeważnie w żyznych dolinach rzek i ponad morzem tworząc olbrzymie zbiorowiska; wsie ciągną się tam nieraz całemi milami. W Chinach są 4 miasta mające przeszło po milionie mieszkańców, a 40 miast ma po kilkaset tysięcy.

Rzek tu nie brak. Na pograniczu z Syberyą od północy płynie rzeka Amur; słynne też są trzy rzeki: Hoangho, Jantse-kiang i Si-kiang.

Na tych trzech rzekach, przepływających żyzne okolice kraju, widzieć można tysiące „wiosek pływających“.

Pochodzi to stąd, że ludności tak tam wiele, iż nie może pomieścić się na ziemi, buduje na rzekach obszerne tratwy, nanosi na nie ziemi, stawia domy, zakłada ogrody i tworzy wioski nawodne.

To się dzieje zwłaszcza we wschodniej i południowej części Chin. Zaś na północy, po obu stronach rzeki Hoangho jest kraj przeważnie płaski, gliniasty, miękki i pełno w nim wąwozów, na dnie których widać drogi, a po bokach tych dróg jaskinie, stanowiące mieszkania ludności.

W tym bowiem kraju, pozbawionym zupełnie kamieni i drzew, ludność nie mając żadnego innego materyału budul-

cowego, w wielu miejscach kopie w żółtej glinie wyżłobienia i robi sobie w nich wygodne, czyste, nawet dość obszerne mieszkania.

Szczęśliwsze są południowe Chiny, bo tu i klimat cieplejszy i wielka urodzajność gleby. Tutaj to jest prawdziwa kraina trzciny cukrowej, ryżu, herbaty, bawełny, pieprzu i innych przypraw korzennych. Przeciwnie na północy, gdzie zimy są surowe, uprawiają głównie pszenicę, jęczmień, tytoń i rośliny strączkowe.

Za to lasów w Chinach brak wielki, bo przemyślny Chińczyk karczuje najmniejsze zarośla, zamieniając je w uprawne pola i ogrody. Pastwisk prawie nigdzie niema, gdyż oprócz nierogacizny i drobiu, innych zwierząt domowych w Chinach prawie nie hodują. Zwierzęta dzikie, jak lwy, tygrysy, pantery i małpy są tam, ale znikają powoli wraz z lasami, które, jak wspomnieliśmy, przemyślny Chińczyk zamienia na pola.

W Chinach są bogate pokłady węgla kamiennego, miedzi, cynku, ołowiu i soli. Chińskie pokłady węgla kamiennego należą do największych na świecie; jeden z nich zajmuje naprzykład 250 tysięcy kwadratowych kilometrów.

Widzimy więc, że Pan Bóg nie poskąpił Chińczykom bogactw. A jednak mimo tego bogactwa, Chiny nie byłyby w stanie wyżywić swej 400 milionowej ludności, gdyby nie nadzwyczajna pracowitość Chińczyka i umiejętność korzystania z najmniejszego kawałeczka ziemi.

Każdy cal ziemi jest tam najstaranniej uprawiony, każde błoto osuszone zapomocą kanałów, a miejsca suche otrzymują nawodnienie z rzek i jezior zapomocą nieskończonej sieci kanalików i szluz. Ta wieczna troska o chleb, uczyniła Chińczyka przeważnie rolnikiem — i nigdzie może na świecie rolnictwo nie jest otoczone taką czcią, jak w Chinach.

Warto tu wspomnieć o „uroczystości pierwszej orki“, w której sam cesarz bierze udział. Odbywa się ta uroczystość co roku na początku wiosny.

Cesarzowi przy wyjściu w pole towarzyszy trzech członków jego rodziny i dziewięciu najwyższych dostojników.

Po trzydniowym poście, który jest przygotowaniem do tej uroczystości, cesarz przebrany w strój rolnika, udaje się ze swoją świtą na przeznaczone miejsce, wchodzi na wzgórze, składa ofiarę bożkom (bo Chińczycy są poganami), modli się o pomyślność i urodzaj dla narodu, potem schodzi na pole.

Tu 40 rolników zaprzęga najpiękniejsze woły do cesarskiego pługa i w ozdobnych pudłach przygotowują pięć gatunków nasion, to jest: pszenicę, ryż, fasolę i dwa gatunki prosa.

Wśród uroczystego śpiewu, muzyki i powiewania chorągwiami, cesarz chwyta prawą ręką za pług, lewą bierze bicz i przeoruje dwie pierwsze bruzdy. W czasie orania dwaj starcy z pośród rolników prowadzą przodem woły, a dwaj inni dygnitarze niosą z tyłu pudło z nasionami i rzucają je na świeżą rolę.

Po cesarzu orzą jeszcze trzy bruzdy trzej książęta, a następnie 9 bruzd wyorują powołani dygnitarze. Poczem zebrani rolnicy udają się przed oblicze cesarza, który się nazywa „synem nieba“ i trzykrotnym ukłonem dziękują mu za jego pracę.

Wtedy cesarz oddala się ze swym dworem do pałacu, a pozostali rolnicy kończą rozpoczętą orkę i siew.

Taka sama uroczystość odbywa się tegoż dnia w innych miejscowościach państwa, z tą tylko różnicą, że tam cesarza zastępują namiestnicy.

Na równi prawie z rolnictwem stoi także jedwabnictwo czyli hodowanie gąsienic motyla jedwabnika, które żywią się liśćmi drzewa morwowego i snują z siebie piękną a mocną przędzę.

Cesarzowie i gubernatorowie chińscy wydawali w różnych czasach różne prawa, aby poprzeć jedwabnictwo. Pewien cesarz dał każdemu z rolników 20 morgów ziemi, z warunkiem zasiania 50 stóp morwą.

Inny znowu cesarz wydał rozkaz, aby każdy z mieszkańców wsi obsadzał drzewem morwy dwa zagony w każdym morgu swej ziemi.

Dzięki tej opiece państwa, jedwabnictwo w Chinach bardzo się rozwinęło i przyniosło Chinom olbrzymie dochody. Dawni Rzymianie, Grecy, Persowie kupowali u Chińczyków jedwab na wagę złota i tylko najbogatsi ludzie mogli sobie pozwolić na sprawienie sukni jedwabnej.

Trwało to do roku 560 po narodzeniu Chrystusa Pana. W tym czasie panował w Konstantynopolu cesarz grecki Justynian, który zaczął szukać sposobu zaprowadzenia jedwabnictma w swojem państwie.

Tego zaś sposobu nikt dotąd nie znał, bo Chińczycy trzymali go w największej tajemnicy i prawo chińskie zabraniało pod karą śmierci wydawać tę tajemnicę z kraju.

Trzeba ale zdarzenia, że właśnie wtedy powrócili do Konstantynopola dwaj Bazyliańscy zakonnicy, którzy przebywali jakiś czas w Chinach jako misyonarze.

Słysząc o kłopotach Justyniana, przyszli doń i oświadczyli mu, że zbogacą jego państwo sztuką wyrabiania jedwabiu.

Cesarz uradował się tem bardzo, a zakonnicy wrócili do Chin, by ztamtąd przynieść jajka jedwabnika. Wyprawa była nader niebezpieczną, bo w razie wydania się, groziła śmiercią; ale udała się i zakonnicy przywieźli jajka jedwabnika ukryte w wydrążonych laskach trzcinowych.

W kilka lat potem uprawa morwy i hodowla jedwabników rozpowszechniły się w całem ówczesnem państwie greckiem, a w 200 lat potem hodowla morwy i jedwabników przeszła do Hiszpanii. Około roku 1200 zaczęła rozpowszechniać się we Włoszech, w 400 lat później we Francyi. a dziś hodują jedwabniki już i w Niemczech i nawet gdzieniegdzie w Królestwie Polskiem.

Pomimo jednak rozszerzenia się hodowli jedwabników w wielu innych krajach, Chiny zajmują jeszcze naczelne stanowisko i jedwab chiński należy do najlepszych. Dlatego Anglia i Francya nabywają go dla swoich fabryk od Chin.

Wielkiem też bogactwem dla Chin jest uprawa h e r b a t y, o czem pomówimy w następnym numerze. (C. d. n.)

# ŻALE SIEROTY.

O, jak dusza we mnie boli,
A płacze,
Kiedy patrzę na swe drogi
Tułacze....
Nie mam dachu ja nad głową,
Ni ziemi,
Jeno wiatr zawodzi głosy
Strasznemi,
Jeno z nieba łzy padają,
Dżdżu łezki....
Strop pokrywa się chmurami
Niebieski.
Takim biedny! serce moje
Wciąż boli....
Chodzę, szukam po tym świecie
Swej doli.

Oj! uciekła moja dola
Za rzeki —
Więc się tułam -- od wesela
Daleki.
Samiuteńki życie wiodę
Tułacze....
Tylko oko łzami wzbiera
I — płaczę....

# CHCIWY ZŁOTA.

Baśń ludowa.

Na końcu bogatej wsi stała uboga chata, a w tej chacie mieszkał gospodarz leniwy, który o niczem innem nie myślał, jak tylko o znalezieniu wielkiego skarbu.

Mijały dnie i tygodnie, ów gospodarz nic nie robi, tylko duma i myśli o tem, jakby to mieć dużo złota i być bogatym.

O milę od tej wsi leżał wielki las, nazwany przez wszystkich lasem zaklętym. Opowiadali też wszyscy, że w tym lesie są wielkie skarby zakopane, że się po nocy palą i że ten je dostanie, kto znajdzie czarownicę, mającą las w swej mocy.

Chciwemu człowiekowi to pragnienie nie schodziło nigdy z myśli.

— Muszę mieć wiele złota, muszę znaleźć skarb wielki! — mówił on sobie, a nie wiedział, że niekoniecznie to mu da szczęście.

Raz szedł on wieczorem do domu z miasta i zabłądził w lesie. Obaczył jakieś światło zdaleka i szedł doń, a tam znalazł czarno ubranego mężczyznę, który mu się ukłonił uprzejmie.

— Skąd pan? -- pyta się chłop.

— Z daleka.

— Co robisz?

— Kupuję duszę dla mego pana.

— Czem kupujesz te dusze? — pyta dalej ciekawy chłop.

— A czemże prędzej kupię, jak nie pieniędzmi, — odpowiada ów czarny pan, czyli inaczej powiedziawszy, djabeł.

— Najwięcej dusz za pieniądze dostanie się do piekła, — mówi dalej djabeł — są inne, które się i za darmo dostaną, ale te i nie wiele dla nas warte, co dusze samych ...

Tu się djabeł zakaszlał, a chłop niecierpliwie czekał, co on dalej powie.

— To dusze samych pijaków, leniwców i chciwców, same idą one do piekła, ale inne trzeba kupować. Te, co dobre, to się bardzo trzymają i trudno je zwabić dla mego pana.

Chciwy złota chłop uradował się, że nakoniec już znalazł kogoś, kto mu może dać bogactwo upragnione, począł się więc sam zapraszać na tę służbę do djabła.

Do czego to nie doprowadzi pragnienie pieniędzy i lenistwo. Koniec końcem zgodził się chłop na służbę u djabła, a za to ten obiecał mu dać tyle złota, wiele on tylko zechce, i wskazał mu sposób zabrania ztamtąd pieniędzy.

— Jużeście mi dokuczyli z temi pieniędzmi — krzyczała baba przeraźliwie — każdy tylko pieniędzy i pieniędzy! — woła... — a nie wiedzą, że to najlepsza łapka na dusze.... Oj! głupi ludzie, głupi... ale kiedy chcesz, idż, musisz mi jednak przódy trzy prace wykonać:

1) nanoś mi na paznogciu małego palca całą beczkę wody,
2) z ziarnek piasku postaw słup wyższy od komina,
3) porachuj liście w lesie.

— Och! stęka chłop leniwy, który nigdy nie chciał robić, ale dla złota idzie, nosi, nosi wodę... stawia i stawia słup z ziarnek piasku, a nareszcie idzie liście rachować.

Tak to tak!... dla złota to i takiej trudnej pracy podejmie się niejeden, a nie wie, że gdyby uczciwie pracował, całe życie, miałby może więcej majątku, a i duszę by zbawił. Ale co tam o tem mówić. Złota i złota wołają ludzie, a idą na przepaść.

Gdy już wszystkie prace wykonał chciwiec, mówi mu czarownica, jak ma iść szukać skarbu, jak ma czekać o północy w lesie, tam się ogień pokaże, niechaj tam kopie głęboko, szuka, a gdy znajdzie, niech bierze, ucieka, a nie ogląda się, bo inaczej wszystko przepadnie.

Poszedł chłop — kopie, kopie ciężko i wytrwale, a pot mu się z czoła leje kroplami, jeszcze kopie i jeszcze, aż nakoniec nadybał złoto. Nasypał złocistych dukatów do wora, wiele tylkó mógł udźwignąć, zasypał znowu miejsce rozkopane, począł iść z ciężarem do domu. Idzie — cieszy się już ogromnie posiadanym skarbem, aż tu nagle słyszy tentent okropny po za nim, lecą konie, wojsko, rycerze... aż ziemia się trzęsie. Chłop idzie, nie ogląda się; znowu przed nim pokazują się węże i gadziny straszne, podnoszą głowy, syczą przeraźliwie, rzucają się na niego. Chciwiec idzie, a dźwiga swe złoto ukochane. Znów olbrzymy straszne, wyższe od największych dębów w lesie, lecą za nim, rzucają kamieniami i dębami, wy-

rwanymi z korzeniem, krzyczą okropnie, wołają... stój!... czekaj!... on idzie dalej.

Nie same strachy dokuczają mu... gonią niezliczone tygrysy, lwy, wyją psy... pędzą jakieś potwory bez rąk i głów z ognistemi skrzydłami, jakieś głosy wołają: uciekaj!... zabij go!... rznij!... on idzie dalej, ale już go tak strach zmęczył i to uciekanie, że i sił braknie.

Wszystkie strachy daremne — on ma swoje złoto, idzie, byle prędzej do domu. Ach!... wieleż już to złoto jego kosztuje... ach!... jakże się już utrudził... ale już ma, już ma złota cały wór, już przed samym domem, jeszcze parę kroków, jeszcze chwilka, a spocznie....

— Czekaj, podzielimy się... — zawołał ktoś nagle za nim....

Oglądnął się — obaczył tego samego djabła, którego w lesie dawniej widział, a w tej chwili, gdy się oglądnął, wszystko złoto przemieniło się w trzaski!

Tak, tak, niejeden z nas w życiu pragnie czego, co mu się zdaje, że będzie dla niego szczęściem, a gdy to ma, obaczy, iż to nie wiele warte.

Pracujmy! pracujmy... szczęście tylko pracą zdobędziemy, szczęście i złoto i dostatek, a nadewszystko zapewnimy duszy spokój i cnotę. Nieraz i złoto tyle warte, co trzaski.

## Różne rady pożyteczne.

**Tępienie łopuchy i gorczycy polnej.** Nie masz pewno dla rolnika bardziej uprzykrzonego chwastu nad łopuchę, którą wyplenić trudno. Nasienie łopuchy zachowuje bowiem przez długie lata siłę kiełkowania, chociaż się znajduje i w najniekorzystniejszych dla siebie warunkach. Bardzo podobnym chwastem do łopuchy jest gorczyca polna. która razem z łopuchą jakby się sadziły, aby rolnikom w zbożach jarych jak jak największą wyrządzić szkodę. I biada rolnikowi, który zezwoli na rozpanoszenie się tym chwastom, biada temu, który zawczasu nie pomyśli o wytępieniu szkodnika! W niektórych latach mniej te chwasty się plenią, w niektórych znów są one prawdziwą „plagą“ rolnika.

Różnym sposobem walczą rolnicy przeciw tym chwastom. Jedni uprawiają pola nawiedzione okopowemi, lub sieją na nich rośliny pastewne. W pierwszym razie sądzą oni, iż ciągła obróbka pól z okopowemi wytępi te chwasty.

W drugim przypadku liczą na to, że bujnie rozwinięta roślina pastewna zagłuszy swym liściem łopuchę. A teraz pomówimy o nowszych sposobach, jakich używają rolnicy niemieccy. Jednym z tych jest obrywanie główek kwiatu łopuchy za pomocą maszynki. Maszynkę taką obsłużyć może dziewczyna, a jedna osoba jest w stanie dziennie 2 morgi oczyścić. Cena 9 do 9 marek. Nabyć można w lepszym handlu machin rolniczych.

Przed dwoma laty weszło w Niemczech w użycie skrapianie pól nawiedzonych łopuchą lub gorczycą rozczynem siarczanu żelaza *(Eisenvitriol)*. Nietylko próby przeprowadzone na stacyach doświadczalnych przez uczonych, lecz także doświadczenia praktycznych rolników przemawiają bardzo za użyciem tego ostatniego środka. Siarczan żelaza — prawidłowo użyty — wytępi doszczętnie łopuchę i gorczycę. Także wstrzymuje siarczan żelaza rozwój innych zielsk, jak ostu, kąkolu modraku i t. d. Nawet przeciw ślimakom polnym nie jest bez skutku.

Używajac siarczanu żelaza trzeba natomiast niejedno przestrzegać. Nie można go bowiem użyć na każde zboże. Skrapiać nim można tylko latową pszenicę, jęczmień i owies. Nie można skrapiać roślin strączkowych i buraków.

A teraz pomówimy bliżej o wykonaniu tej czynności. Tutaj trzeba wiedzieć, iż dobry skutek zależnym jest od odpowiedniej zaprawy płynu, od równego rozpylenia tegoż po zachwaszczonym polu, a wreszcie od utrafienia stósownej pory.

Rozczyn siarczanu do skrapiania musi być 15 do 20-procentowy, to znaczy, że na 100 litrów wody bierze się 15 do 20 klg. (1 klg. 2 funty) siarczanu żelaza. Siarczan rozpuszcza się naprzód w małej ilości gorącej wody, a potem rozcieńcza się płyn, dolewając odpowiednią dolewkę wodę. Płyn ten musi być równo rozpylony po polu. Na ten cel sporządzono osobne sikawki. Najlepszą jest sikawka Mayfartha „Siphonia". Nabyć takową można w każdym lepszym interesie machin rolniczych, po cenie 40 do 60 marek. W gminie można składkowym sposobem nabyć z jednę lub więcej takich sikawek i używać kolejno. A teraz ważnem jest bardzo, aby pracę wykonać na czasie. Roślina zielska musi być już nieco rozwiniętą, posiadać mniej więcej 4—5 listków, atoli do kwiecia nie można dopuścić, tylko przed okwitnięciem pole skrapiać.

## Prośba z góry Alwernia.

Budowa wieży kościelnej na górze Alwernia ma się ku końcowi, pokrywamy obecnie wieżę blachą miedzianą. Fundusze budowy wyczerpane. Klasztor **prosi** przeto najgoręcej o łaskawe datki na dokończenie wieży i na nowe dzwony już odlane w Wiener Neustadt. **Obrazy fundacyjne Pana Jezusa cudownego** regularnie wysyłamy każdemu, kto pośle ofiarę dwóch koron.

*X. Stefan Podworski*
Gwardyan
**w Alwernii** (poczta w miejscu).

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.